Nr. 25. We Lwowie, Poniedziałek dnia 23 czerwca. 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Teatr współczesny w Holandyi.

Każde społeczeństwo posiada taką sztukę, na jaką zasługuje i zasługuje na taką, jaką posiada. Zdanie powyższe najdosadniej da się zastosować do sztuki dramatycznej, skazanej na opieranie się o szerokie masy, interesującej te właśnie masy w najwyższym stopniu. Scena angielska o tyle, o ile jest oryginalną kultywuje przeważnie sztuki wystawowe i pantominy, amerykańska uprawia głównie dział utworów senzacyjnych, hołdując równocześnie systemowi „gwiazd" teatralnych. Francuzka opiera się na reportoarze nowoczesnym, narodowym, podczas gdy niemiecka polega na nieumiarkowanem naśladownictwie obcych literatur. Obok Szyllera spotkasz Echegaraya, obok Mosera Sardou i Dumasa. Tej samej zasady przestrzega też teatr współczesny w Holandyi, nie posiadając nadto żadnego balastu dla zrównoważenia obcych wpływów w postaci narodowego repertoaru. Jest to tem dziwniejszem zjawiskiem, ileże cała Holandya z bardzo małymi wyjątkami posiada i lubuje się w widowiskach scenicznych.

Największą i najznaczniejszą sceną w Holandyi jest *Stadtschouwburg (Schouwburg*-teatr) w Amsterdamie. Nie jest to ani teatr dworski, ani miejski, ani też przedsiębiorstwo prywatne. Gmach ten, powstający świeżo z popiołów, zbudowało stowarzyszenie zwane *Het nederlandsch toncel (toncel* scena) w celach czysto patryotycznych stworzenia teatru narodowego i skupienia w jednym punkcie najznakomitszych sił miejscowych. Nie znam bliżej wewnętrznej organizacyi tej instytucyi i dlatego nie mogę twierdzić, czy takowa jest zbliżoną do ustroju komedyi francuzkiej, czyli też polega na zwykłym systemie pensyjnym.

Het nederlandsch toncel posiada filię swą w Rotterdamie, do której należy najznakomitszy komik holenderski, van Zeulen, podczas gdy pierwszy tragik Bouwmeester Ludwik jest ozdobą centralnej trupy. Jest to bez wątpienia jeden z najcelniejszych artystów współczesnych, niepoTównany jako Otello, lub Ryszard III. Najświetniejszą artystką jest jego siostra Myfrouw Frenkel-Bouwmeister, aktorka w rodzaju Sary Bernard, grywająca ten sam wydział ról. Jej popisowemi kreacyami są „Fedora" i „Dama Kameliowa". Około tych gwiazd grupuje się cała plejada sił wyborowych

W skład repertuaru tego teatru wchodzą przeważnie utwory francuskie i niemieckie, zwłaszcza sztuki konwersacyjne i społeczne, wykonywane przez artystów z podziwu godną naturalnością. Natomiast wiersz patetyczny razić musi wręcz cudzoziemca swym komizmem. Tylko artysta tej miary co Bouwmeister może grą swą pogodzić obcego słuchacza z dziwacznem brzmieniem dykcyi.

Artyści holenderscy celują, jak to już wspomnieliśmy, w komedyi. Humor ich spokojny, refleksyjny, realizm flegmatyczny najlepiej się uwydatnia w interpretacyi komedyi lub krotochwili mieszczańskiej. Wówczas i artyści czują się w właściwym sobie żywiole i publiczność przypatrująca się ze stoicznym spokojem cierpieniom Otella lub Fausta, wybucha niewstrzymaną niczem wesołością. Holenderczyk, gdy się śmieje, to śmieje się bardzo głośno — klaszcze i krzyczy jak opętany. Nie należy bowiem zapominać, że publiczność holenderska demokratyczne swe usposobienie manifestuje także w teatrze. W wielu teatrach siedzą mężczyźni w kapeluszu na głowie i w zwykłym, codziennym ubiorze. Audytoryum to manifestuje bardzo drastycznie zarówno swe zadowolenie jakoteż niechęć. Tę ostatnią zaznacza potężnym rykiem, stukaniem, świstaniem, przyczem postępuje z taką swobodą jak w życiu codziennem, gdzie stróż bezpieczeństwa może interweniować tylko w ostatecznym razie.

Aktorowie *Stadtschouwburgu* amsterdamskiego grają raz na tydzień w Hadze, od czasu do czasu także w innych miastach. Występy gościnne całego personalu są podstawą systemu teatralnego w Holandyi *Het nederlandsch toncel* jest też jedynym w całym kraju teatrem, płacącym honorarya artystom. Jest to rzecz niezwykła, gdyż Holandya jako nienależąca do konwencyi literackiej, pozostawia pod tym względem przedsiębiorstwom teatralnym zupełną dowolność Korzystają z tego wszyscy dyrektorowie teatrów, a w szczególności wielce rozgałęzione przedsiębiorstwo Van Liera. Nerwowy i zawsze żądny grosza Sardou usiłował przełamać ową niechęć Holandyi do płacenia tantyem autorskich i za każdem przedstawieniem swej sztuki polecił adwokatowi swemu protestować w drodze legalnej. Uczynił to także przy wystawieniu „Teodory" w przekładzie holenderskim i niemieckim. Protesty te atoli nie odniosły żadnego skutku; biedny Sardou musiał jeszcze ponosić koszta. I w ostatnich czasach Holandya nie chciała przystąpić do świeżej konwencyi literackiej, uznając, że wcale jej wygodnie w dotychczasowym rzeczy porządku.

Przedsiębiorstwo teatralne Van Liera zasługuje na nazwę wędrownego instytutu artystycznego. W Amsterdamie posiada dwa teatra: *Grand-Théatre* i drugi na przedmieściu *Parkschouwburg.* Cały personal rozpada się na trzy części, z których pierwsza uprawia tragedyę i dramat, druga komedyę, trzecia sztuki ludowe

i farsy. Dwie części towarzystwa są w nieustannej podróży i często po kilka miesięcy nie oglądają Amsterdamu, goszcząc po większych i mniejszych miastach, które posiadają gustowne i wygodne gmachy teatralne — bez personalu.

Haga, rezydencya królewska posiada stale tylko francuzką *opera royale* wcale nieźle obsadzoną, w Rotterdamie prócz filji *het nederlandsch toncel,* istnieje opera niemiecka, mieszcząca się w okazałym budynku. Powodzenie jej wszakże nie sprzyja. W ubiegłych latach opera ta gościła raz w tygodniu w Amsterdamie, podczas gdy opera królewska znów w innym dniu tygodnia produkowała w amsterdamskim Edenteatrze. O innych scenach w tem mieście nie wiele da się powiedzieć. W *Amstelstraat* mieści się scena ludowa, przedstawiająca także z powodzeniem farsy. Wspomniony już przez nas Eden posiada gmach zbudowany i urządzony na wzór paryskiego teatru tegoż nazwiska. Wewnątrz udekorowany w fantastycznym stylu indyjskim posiada wspaniałe foyer, galerye i przepysznie urządzone bufety. Oprócz tego prosperuje maluchny teatrzyk operetkowy, kultywujący sztukę podkasaną w języku holenderskim.

Od czasu do czasu krąży po Hollandyi wędrowne towarzystwo francuzkie, zaś w sezonie letnim zaglądają często do Holandyi Sara Bernard i Cocquelin.

Z tem wszystkiem kraj ten tak zamożny, posiadający tyle wspaniałych przybytków Melpomeny, nie jest rajem dla artystów, zniewolonych do przepędzania znaczniejszej części życia w wagonie kolejowym.

W WAGONIE.

Było już po trzecim dzwonku; drzwiczki wagonów były już zamknięte. Mnóstwo mężczyzn, kobiet w jasnych sukniach i dzieci w marynarskich ubraniach żegnało odjeżdżających. Skwar nie do zniesienia; kto może, opuszcza miasto. Jedni dążą na wieś do krewnych, drudzy dążą do wód. Pociąg olbrzymiej długości cały przepełniony. Na platformie ustał już gwar i wrzawa. Wszyscy przybrali miny trochę uroczyste. Kobiety z lekka uśmiechają się, w oczach wrażliwszych kręcą się łezki. Tu i owdzie brzmią jeszcze ostatnie pożegnania, owe zwykłe: „Pamiętajcie, piszczcie; szczęśliwej podróży, ukłony wszystkim, do widzenia!"... Rozległ się świst pary, zawarczały koła, drgnęły zbudzone z letargu wagony i pociąg zwolna ruszył.

Zdala jeszcze krzyżowały się ostatnie uśmiechy, ukłony, kiwania głowami; powiewano białemi chustkami, słomianemi kapeluszami, które lśniły w promieniach słońca, jak złote; wreszcie cała różnobarwna fala tłumu, zalewająca platformę, zwolna wypływała szklannemi drzwiami peronu.

Stanąłem w oknie wagonu i z radością, jaką odczuwa każdy, opuszczający dla miesięcznego wypoczynku całoroczne miejskie zajęcia, kłopoty, troski i udręczenia, odetchnąłem całą piersią... Miasto oddalało się. Znikały już chodniki, i kamienne bruki. Malały już stołeczne domy, wszystkie podobne do siebie, bez cienia, bez jednego drzewka, lśniące fałszywym blichtrem, tanim komfortem, tandetą. Oddalały się wieżyce kościołów...

Mijamy lotem błyskawicy kilka stacyj, na których piękne panie w modnych sukniach wyczekują tęsknie mężów, przyjeżdżających ze stolicy. Słychać całusy, powitania, okrzyki. Pociąg pędzi dalej. Jestem sam jeden w przedziale. Czerwony aksamit wagonu pierwszej klasy parzy mnie; tu i owdzie błyszczą na nim świetlane smugi słońca. Uf! jak gorąco! Nie opuszczam więc okna, a przyjemny wietrzyk rozwiewa mi włosy i muska skronie.

Lecz teraz widok zupełnie się zmienił. Nie czujesz już miasta ani śladu. Prowincja, partykularz. Chałupy kryte już słomą przed niemi bawią się w piasku małe bębny z lnianemi włosami, w brudnych koszulkach. Wokoło pusto i głucho. Lecz pociąg znowu zwalnia biegu. Koła aż zgrzytają, a cały wagon się wstrząsa. Słyszę metalicznie drgające dźwięki dzwonu, znowu zbliżamy się do jakiejś stacji.

Zdaleka już widzę ogródek, upiększony sztucznemi grotami z żyzli i baniami szklannemi. Na peronie spacerują wystrojone, bez kapeluszy, córki pana naczelnika i młodzi urzędnicy w czapkach z galonami.

Lecz tam, het, drogą wysadzoną topolami, prowadzącą do stacji, jednocześnie z biegiem naszego pociągu pędzi co koń wyskoczy jakiś pojazd, coraz wyraźniej zarysowujący się z poza kłębów kurzu, w których płynie, niby w chmurach lub obłokach.

Ciekawość mię ogarnia, czy nadążą, i drżę, jak gdybym to ja sam mknął w tym powozie...

Widzę ich coraz wyraźniej. Dwa kasztany rosłe wspaniałe. Na koźle lokaj i stangret w piaskowej liberji. W powozie — pan i pani.

Zdążyli...

A teraz lokaj zeskakuje z kozła po bilety. Sam pan wnosi zdobne w bronzy kuferki. Wszyscy urzędnicy bardzo nisko się państwu kłaniają. Służba kolejowa z czapkami w rękach skacze koło nich. Państwo są już na peronie. On suchy, wyprostowany, kroczy na przedzie. Ona spieszy za nim. Widocznie prędki chód ją męczy.

Jest to piękna blondyna o rysach bardzo regularnych. Mała jej głowa ugina się pod ciężarem gęstych, złotych włosów, bezkarnie usuwających się z więzów szpilek i siatki. Przejrzystą jej cerę, jeszcze dość świeżą, zaróżowia w tej chwili bojaźń spóźnienia się, upał i zmęczenie. Oczy jej blado niebieskie straciły już blask pierwszej młodości i patrzą w świat spokojnie i łagodnie. Podróżny, z jasnej materji, płaszczyk uwydatnia jej kształty. Czerwona jedwabna parasolka, oświetlona promieniami słońca, otacza ognistą aureolą jej głowę.

Lecz rysy twarzy jej wydają mi się znajome. Przysiągłbym, żem spotkał już gdzieś w życiu tę kobietę. Konduktor otwiera mój wagon. Nie mam o to do niego żadnego żalu: ci państwo bardzo mnie zaciekawili.

Lokaj w piaskowej liberji wręcza konduktorowi bilety i z cylindrem w ręku czeka przed wagonem na dalsze rozkazy. Państwo układają na siatkowej półce walizki; sadowią się w wagonie.

Odzywa się znowu odgłos dzwonka... Ruszamy.

Udaję pogrążonego w czytaniu, uważnie jednak przypatruję się złotowłosej damie. Nagle automatycznie uderzam się ręką w skroń, aż mi Bedaecker z dłoni wyleciał.

— Julka! — wykrzykuję na stronie.

Dama zatopiona w lekturze nie spostrzegła mego wybuchu.

— To, Julka!

Byłem tego pewnym. Przypomniałem sobie teraz czasy, kiedy przed dziesięciu z górą laty oczekiwaliśmy pod filarami jej wyjścia z za kulis, po skończonym teatrze.

Partenis w „Pięknej Helenie“ była jej największą rolą. I kiedy, sepleniąc i myląc się, recytowała swój jedyny monolog dziesięcio-wierszowy — dwa pierwsze rzędy krzeseł dusiły się od śmiechu.

Nareszcie okutana, okazywała się w ciemnej sieni w towarzystwie pokojówki, dźwigającej za nią koszyk z garderobą. Uśmiechnięta podawała nam ręce, a płomień gazowej latarni oświetlał jej ładną twarzyczkę, świecącą od niezmytej jeszcze szminki i teatralnej charakteryzacji.

Przez chwilę czekaliśmy jeszcze na wyjście kilku jej koleżanek i wszyscy razem wyruszaliśmy dorożkami w drogę — zimą do gabinetu jakiej restauracji, latem — za miasto.

Była wtedy szczupłą i drobną i wybuchała ciągłemi kaskadami śmiechu. Przepadaliśmy wszyscy nietylko za jej wdziękami, lecz za dowcipem i humorem, a i koleżanki mówiły o niej, że ma serce koloru włosów — złote.

Wiele wody od tego czasu upłynęło. Minęło blizko pół ćwierci wieku. Już nowa generacja oczekuje wyjścia artystek pod filarami. Nikt już obecnie nie wie, że istniała jakaś Julka na świecie. Mówiono ongi, że jakiś bardzo zamożny pan zakochał się w niej na zabój, wywiózł ją z Warszawy, że przebywają od wielu lat razem na wsi, że ją podobno zaślubił.

— To oni — mówiłem sobie, nie spuszczając z niej oczu. — Nie poznaje mnie... Kobiety mają tak krótką pamięć... Zresztą nie miałem wtedy brody, choć znacznie więcej za to włosów na głowie. Stanowczo nie poznaje mnie. Tem lepiej.

Dama, ziewając, rzuciła tylko co rozpoczętą książkę, i przez chwilę kartki „Kłopotów starego komendanta“, jak białe motyle, gonione wiatrem, fruwały po wagonie; aż złowione przez pana legły na czerwonym aksamicie kanapy. To prędkie znudzenie się lekturą stało się, po sięgnięciu w przeszłość, jednym z ważniejszych dowodów w moich oczach co do tożsamości osoby.

Pani z nudów zaczęła ściągać długie duńskie rękawiczki.

— To Julka, Julka, bez żadnego wątpienia; teraz byłem już zupełnie tego pewnym. Mogą wyjść z pamięci rysy twarzy kobiety, którą się dobrze znało, lecz nie zapomina się nigdy fizjonomji... jej ręki. Poznałem tę rączkę małą i pulchną, alabastrowej białości z niebieskiemi żyłkami, zaróżowioną na lewej stronie z trochę zakrótkiemi palcami, z ładnemi, małemi paznogietkami.

Na palcach lśni kilka brylantowych pierścionków, daremnie jednak szukałem oczami... obrączki.

Państwo nie przemówili do siebie ani słowa. Dawna moja znajoma nie grzeszyła małomównością. Dziwiło mnie tembardziej to uporczywe jej milczenie, iż przygody ich podróży, owe spóźnienie się na kolej, szczęśliwy przyjazd na sekundę przed ruszeniem pociągu, wszystko to przedstawiało pewien temat do rozpraw i gawędy.

Ludzi tych widoczniej prócz przyzwyczajenia, nic już nie łączyło. Pan nie wydawał mi się zbyt zdolnym do odczuwania wielkich porywów miłości. Twarz jego zmęczona okazywała ową epokę życia, w której człowiek tak przyzwyczaja się do wszystkiego, co go otacza, iż uważa to wszystko za niezbędne i pozbywa się niechętnie nawet... starych pantofli.

Przypatrując im się bliżej, widziałem, iż pani zdawała się mieć kilkakrotnie nagromadzoną ilość myśli, z któremi zwierzyć się chciała. Zamiary te jednak wciąż mroziła zimna twarz milczącego mężczyzny.

Miał on powierzchowność skończonego gentlemana. Niedomyślałbyś się z niej ani jego wieku (mógł liczyć lat trzydzieści parę, lub pięćdziesiąt), ani charakteru, ani umysłu, ani zalet, ani wad; była to jedna z tych masek kamiennych, które denerwują nas swoją zagadkowością, a ukrywają często... pustkę.

Jedyny przymiot jaskrawo uwydatniał się w tym sfinksie: to „coś“, co określić się nie daje, co znamionuje wyższe towarzyskie sfery, a nazywa się „dobremi manierami“, objawiającemi się w ruchu, w uśmiechu, w mowie, w każdym geście.

Z wyciągniętemi nogami, z głową (wspaniale ufryzowaną przez artystę kamerdynera), opartą na wysokiej aksamitnej krawędzi wagonu, w kraciastym haweloku, podróżnej czapeczce, muskając przy tem od czasu do czasu cienki wąs, zrównany żelazkiem, lub polerując pilnikiem paznogcie.

Pani przez ten czas bezmyślnie przypatrywała się swojej osobie w wytwornem podróżnem lusterku. Przez chwilę siliła się opanować białemi rączkami bunt *coiffure'y*. Nie mogła sobie jednak dać rady z tem bogactwem włosów, które groziły, iż za lada chwilę zaleje plecy jej i ją całą. Znudzona wreszcie, odrzuciła lusterko które stoczyło się na dywan.

— Proszę, podaj mi pudełko z cukierkami leży tam w torebce skórzanej — rzekła głosem przeciągłym, mającym dźwięk drgających dzwoneczków.

Pan bardzo skwapliwie i grzecznie spełnił jej żądanie.

Przez pewien czas dama chrupała słodycze.

— Wiesz — rzekła po chwili — zjadłabym coś posilniejszego. Podaj mi tę skrzynkę. Dziwna rzecz, jak zawsze głodna jestem w podróży.

— Sądzę, że i w domu nie masz powodu uskarżać się na brak apetytu — odrzekł pan z owym sarkazmem, jakiego czasem nie mogą się pozbyć nawet najlepiej wychowani mężczyźni, mówiąc do swoich młodych żon, lub kochanek.

— A możebyś i ty coś przekąsił?

— Dziękuję, nie jadam w drodze.

Dama rozłożyła serwetkę na kolanach i otworzyła safianową bronzem okutą skrzynkę. Był

to wytworny neserer podróżny; w pluszowych futerałach tkwiły w nim srebrne łyżeczki, nożyki, widelce; na inkrustowanych talerzykach leżały cienkie plasterki pulardy, pasztetu z truflami i szynki. Osobno leżały tartinki chleba, słoiki z solą i pieprzem, ser i hermetycznie zamknięte masło.

Dama zajadała to wszystko z wielkim apetytem i zapijała ucztę winem, które wlewała ze śrubowanego flakonu do srebrnej podróżnej czarki. Na wety powróciła znowu do słodyczy; chrupała cukry, owoce...

Lecz świst pary znowu rzeszywa powietrze, drga on jakoś przeraźliwiej i przeciąglej. Dzwonek stacyjny brzmi też donośniej i u oczyściej.

Dojeżdżamy do jakiejś większej stacji.

Jednocześnie ze zbliżeniem się naszego pociągu otwierają szklane drzwi peronu, któremi zbita chmara ludzi wydostaje się na platformę.

Na stacji zamęt. Pasażerowie, obładowani torbami i pakunkami, potrącają się i depcą sobie po nogach. Stróże kolejowi w niebieskich bluzach pchają wózki z bagażami, krzycząc: z drogi! Kelnerzy uwijają się z kuflami pieniącego się piwa. Słychać szwargot żydów, gorączkowe upominanie się o miejsca, sprzeczki z konduktorami i przeciągłe dzwonki elektryczne.

Wzdłuż wagonów biegną wyrostki i bose dziewczęta z dzbankami w ręku, wołając: „Woda świeża zdrojowa, woda świeża, zdrojowa!“

Na peronie zebrała się cała *elita* małego miasteczka, dająca sobie *rendez-vous* na stacji. Wśród tłumu przesuwają się panny w jasnych sukienkach, za niemi suną mamy gwarzące, a prowincjonalna „złota młodzież“, składająca się z urzędników, kupców korzennych i młodych aptekarzów, okiem znawców lustruje przejeżdżające damy.

Pociąg już przepełniony. Nowi pasażerowie coraz natarczywiej domagają się o miejsca. Konduktorzy, ochrypli ze zmęczenia, obcierając sobie chustkami pot z czoła, błagają o wyrozumiałość, o chwilkę cierpliwości; dla każdego miejsce znaleźć się musi.

Żelaznemi łańcuchami przyczepiają nowy wagon. Na nieszczęście więcej wagonów w rezerwie nie ma. Odzywa się dzwonek. Słychać trzask zamykanych drzwiczek.

(Dokończenie nastąpi).

Karykatura w poezji.

Nietylko w rymach rozpowszechniła się ostatniemi czasami karykatura. Przeszła ona także w inne dziedziny sztuki, wkroczyła nawet na pole poezji, zasiewając kolącemi bodakami rozłogi, na których przywykliśmy byli widzieć jeno urocze kwiaty marzeń.

Z rozmaitych gatunków karykatury w poezji niemieckiej, najbardziej rozpowszechniły się epigramy, ulubione dla swej krótkiej, ucinkowej formy. Są one zwykle jak drobne szpilki: kolą, nie raniąc prawie.

Dość udatny okaz takiej karykatury podaje ostatni zeszyt wybornie redagowanej Gesellschaft, organu realistów niemieckich.

Nieznany równie nam, jak zapewne i znacznej części niemieckich czytelników, Hans Gurdenitsch podaje tam krótkie karykatury wybornych poetów niemieckich. Niektóre z tych sylwetek mimo całej swej pobieżności dobrze podchwytują ujemne strony odnośnych autorów. Niezrównany piewca ludu alpejskiego, Rosegger, zajmujący w nowelistyce to samo stanowisko, co Defregger w malarstwie, obdarzony został następującą drobnostką:

Rosegger.

Nikt, jako ty, nie odda woni,
Przepełniającej las, czy stajnie;
Formalnie w nosie ona kręci
I drażni zmysły nadzwyczajnie.
Sielanka twoja życiem tętni,
Nie jest mamidłem kruchem;
Lecz szkoda: jam poetą tylko
— Ach, gdybym był pastuchem!

Nudnawy z powodu swego erotyzmu Heyse, jeszcze dotkliwiej został ukłuty przez satyrycznego komara. Odnośny epigram opiewa:

Heyse.

Miłość, miłość i znów miłość...
Wciąż obrabiasz ją w zapale.
— Kto twą jedną rzecz przeczytał,
Zna już wszystkie doskonale.

W dalszym ciągu spotykamy napad na Gottschalla, który mimo sędziwego wieku i długoletniej pracy na polu literackiem, nie zdołał się otrząsnąć z puszków dyletantyzmu. Pan G. pisze:

Gottschall.

Przebiegł poezji wszystkie niwy,
Lecz choć się włóczył wszędzie,
Żadnej z tych niw nie posiadł dotąd
I — nigdy nie posiędzie.

Wildenbruckowi dostał się równie miły upominek. Oto, jak pan G. sądzi:

Wildenbruck.

Szekspirem II zwą cię pochlebcy
Ja także ci pochlebię
Byłbyś zarówno wielki, jak on,
Gdybyś otrzymał Kephisophon
— Lecz genialniejszy od ciebie.

Na koniec jeszcze cisnął złośliwy satyryk jedną z swych strzał w historyka Janssena, tak go przedrwiwając!

Janssen.

Powiedz mi, proszę, bez ogródek,
Nim cię dokładniej ocenię,
Ile też dziejów twa fabryka
Płaci podatków, Jannsenie?

St. R.